



ODSZEDŁ CZŁOWIEK WIELKIEGO FORMATU

Jerzy Belina Brzozowski, zmarł 30 stycznia 2013 roku, miał 60 lat.

Brzozowscy herbu Belina to stary ród szlachecki, który w drugiej połowie XV wieku osiedlił się na Podolu. Brzozowscy, a zwłaszcza mężczyźni, charakteryzowali się niezwykle urodą, okazałym wzrostem, a także zdolnościami artystycznymi. Jerzy był synem, nie żyjących już, hr. Adama Belina-Brzozowski i hr. Mrii (Rysi) Ilińskiej Kaszowskiej. Rodzice Jerzego, straciwszy wszystkie dobra w Polsce, po II-ej Wojnie Światowej wyemigrowali do Maroka. Tam właśnie, 3 marca 1952 roku urodził się Jerzy. W roku 1965 rodzina wyemigrowała ostatecznie do Kanady i 13-letni wtedy Jerzy znalazł się w Montrealu, w którym to mieście założył rodzinę i spędził całe swoje życie.

Kim był Jerzy? Otóż odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta, jakby się wydawać mogło, a to dlatego, że był to człowiek, o którym, mimo moich (i nie tylko moich) usilnych starań i nawet najbardziej krytycznego podejścia, nie da się nic złego powiedzieć. To tak trochę jak bohater powieści Sienkiewicza, *Ogniem i Mieczem*, Skrzetuski. Był on człowiekiem prawym, uczciwym, honorowym, walecznym i o nieskazitelnej reputacji. Wszystkie te cnoty sprawiały, że mógł wydawać się papierowy, nierealny, a nawet nieco nudny. Jerzy natomiast nie był ani nudny, ani nierealny. Był po prostu człowiekiem wyjątkowym, człowiekiem wielkiego formatu.

Jerzy - nieprzeciętnie wysoki, smukły, o łagodnej twarzy, uważnym, ciepłym spojrzeniu i rozbajającym uśmiechu – zjednywał sobie mimowolnie, bez żadnych starań powszechną sympatię. Ktokolwiek zetknął się z nim choćby na chwilę musiał ulec wrażeniu, że oto spotkał człowieka niezwykle. Co więcej, miał pewność, że za jego urzekającą powierzchownością kryje się – nie waham się tego napisać - wewnętrzne piękno.

Szczodry, lojalny wobec przyjaciół, o nieposzlakowanej uczciwości i niezwykle przy tym skromny, kojąco spokojny i opanowany, nigdy nie podnoszący głosu, chyba tylko śpiewając.

Kiedy starałem się o pracę w międzynarodowej niemieckiej firmie Beiersdorf już na ostatnim spotkaniu selekcyjnym prezydent firmy zapytał mnie: „a czy zna pan może Jerzego Beline?”. Moja twierdząca odpowiedź była ostatecznym argumentem decydującym o zaangażowaniu mnie do pracy. Nieczęsto zdarza się słyszeć tak szczerze i bezinteresownie wyrażone słowa uznania i podziwu, jakie usłyszałem wtedy od owego prezydenta.

Chciałem uniknąć zarzutu, że ton mojego wspomnienia o Jerzym wynika z tego, że o zmarłych piszemy tylko dobrze i dlatego też zwróciłem się do wielu jego przyjaciół i znajomych z pytaniem czy może jednak było coś w jego charakterze, co mogłbym delikatnie nadmienić – ale nikt nie mógł niczego negatywnego przytoczyć.

Poza innymi walorami Jerzy był także jednym z najzdolniejszych sportowców amatorów, jakich znałem. W siatkówkę grał na poziomie pierwszoligowym, był członkiem ligii A, która zdobyła 2-gie miejsce w kwalifikacjach do kanadyjskiej ekipy olimpijskiej w 1976 roku. Do gry w tenisa miał taki talent, że gdyby grał wyczynowo, z pewnością zrobiłby niesamowitą karierę. Leworęczny, fenomenalnie skoncentrowany, poruszający się po korcie drobnymi kroczkami, gotów do odpalenia takiego forhendu, że dech zapierało.

Dość często, kiedy Roger Federer, legenda światowego tenisa i ulubieniec Jerzego grał w jakimś turnieju, spotykaliśmy się razem i oglądaliśmy mecz w telewizji. Jerzy miał dużo cech Rogera i vice versa. Gdyby Roger Federer, był wyższego wzrostu, nie był szwajcarem, tylko urodzonym w Afryce polskim hrabią z Maroka mieszkającym w Montrealu, żonatym z Marietą, a nie z Mirką i mającym trójkę, a nie dwójkę dzieci, to byłby z niego drugi Jerzyk.

Andrzej Ronikier

.